№ 4. Warszawa, dnia 11 (23) Stycznia 1886 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

KOBIETY HISTORYCZNE.

PRZEZ

L. S. W.

Siedm panien z Verdun.

Bohaterstwo kobiety, oddającej życie dla swych przekonań lub w obronie istot ukochanych, godne jest zawsze najwyższego podziwu i uwielbienia z powodu, że kobieta, to istota fizycznie słaba i wrażliwa, która wskutek porządku natury więcej niż mężczyzna dba i dbać powinna o swoje życie, której trudniej przenieść cierpienia i pożegnać się z życiem, zwłaszcza, gdy to kobieta młoda, której uśmiechają się wszystkie ponęty i powaby życiowe. A jednak niebrak dziejom ludzkości takich bohaterek: znajdujemy je od czasów najdawniejszych, jeszcze przed męczeństwem dziewic chrześciańskich pod kłami i pazurami dzikich zwierząt w cyrku, znajdujemy i później aż do dni naszych, we wszystkich czasach i u wszystkich narodów.

Ofiarami tego opłakanego i występnego obłędu są dzieje siedmiu panien francuzkich, które tu opowiemy. Dla czytelniczek będą pewnie zajmującemi losy tych niewinnych ofiar, o których zapomniała historya, podobnie jak o wielu innych, których kości wrzucano do wspólnych dołów, chociaż za życia niejeden z tych straconych spodziewał się wspaniałego pomnika lub miał nadzieję spocząć w okazałym grobowcu familijnym...

Oto jest smutna historya siedmiu panien.

W Sierpniu 1791 roku, gdy rozhukane fale rewolucyi francuzkiej ryczały coraz to głośniej, napełniając swym oddźwiękiem świat cały i gdy nie było już wątpliwości, że dążenia republikańskie grożą tronowi zagładą, ościenni z Francyą monarchowie europejscy postanowili wystąpić czynnie w obronie króla francuzkiego, Ludwika XVI, jego rodziny i zagrożonej monarchicznej formy rządu.

Wojska obce miały zgnieść rewolucyą i ideje republikańskie. Pobudkę do tego wystąpienia dał głównie Leopold II, cesarz niemiecki, który pragnął obronić nieszczęśliwą swą siostrę, królowę Maryą Antoninę. Zapatrywanie się cesarza podzielał Fryderyk Wilhelm II, król pruski, który obawiał się, ażeby idee republikańskie nie zagroziły jego władzy w swem państwie. Stanęło więc w Pillnitz przymierze między obu monarchami, przeciwko Francyi skierowane. Wmieszanie się to monarchów niemieckich do spraw wewnętrznych francuzkich, nie przyniosło jednak spodziewanych skutków, lecz raczej wręcz przeciwne, jak dowiodły tego wypadki późniejsze. Napaść ta bowiem obudziła niesłychany zapał we Francuzach, którzy stanęli jak jeden mąż w obronie kraju, a sprawa rodziny królewskiej i monarchii również od tego ucierpiała, gdyż wierzono powszechnie, że Ludwik XVI, a głównie królowa, wezwali wojsk obcych przeciwko własnym poddanym.

Na skutek owego układu, nieprędzej jednak, aż w rok po zjeździe pillnickim, a mianowicie w Sierpniu 1792 roku, wtedy właśnie, gdy w Paryżu ogłoszono rzeczpospolitę, a Ludwika XVI z rodziną uwięziono, siedmdziesiąt tysięcy Niemców, pod dowództwem samego króla pruskiego i księcia Brunświku, wkroczyło w granice Francyi. Dnia 22 Sierpnia poddała się Prusakom mała twierdza Longwy, a w kilka dni potem, król pruski wkroczył do miasta Verdun, które musiał również oddać nieprzyjacielowi komendant Beaurepaire, ale wprzód odebrał sobie życie.

Wielki poeta niemiecki, Gete, brał udział w tej kampanii przy boku króla pruskiego i jako świadek naoczny, pisze (w artykule „Kampania francuzka") co następuje. „Przyjęcie króla było świetne. Czternaście najpiękniejszych młodziutkich panien, ubranych biało, ofiarowało królowi kwiaty i owoce. Niektórzy odradzali królowi wąchać kwiaty i kosztować owoców, z powodu, że mogły być zatrute; ale król wzgardził tą ostrożnością,

przyjął dary życzliwie, rozkoszował się kwiatami i jadł owoce.

Tryumf Prusaków nie trwał długo: słoty, choroby, przedewszystkiem niespodziewana dzielność Francuzów, prędko położyły kres zwycięzkiemu pochodowi wojsk cesarskich i królewskich. Już we Wrześniu tegoż 1792 roku, po bezowocnem oblężeniu Valmy, zniechęceni Prusacy zaczęli cofać się do Niemiec przez błotniste równiny Szampanii.

Nie pozostał jednak bez skutków pobyt króla pruskiego w Verdun. Rozeszła się bowiem wieść, że jak pisze Gete, istotnie przyjmowano nieprzyjaciół balem a deputacya panieńska wręczyła Fryderykowi Wilhelmowi kwiaty i owoce.

W epoce teroryzmu, gdy na blankietach urzędowych figurowały takie godła jak: „Swoboda, równość i braterstwo, albo śmierć", w owych smutnych czasach mniemane przyjęcie uroczyste wrogów kraju przez mieszkańców Verdun, nie mogło ujść płazem. Jakoż, krwiożercza konwencya, dowiedziawszy się o tych wieściach, wnet po opuszczeniu Francyi przez Prusaków, wysłała do Verdun komisyą dla wyśledzenia wrogów Rzeczypospolitej. Na czele komisyi stał członek konwencyi Sommellier, niegdyś mnich, karany później za rozmaite przekroczenia i sekretarz jego Madin, znany z gburowatości i okrucieństwa. Komisya rozpoczęła śledzwo, badała świadków. Pokazało się, że o żadnym balu na cześć Prusaków i o deputacyi panien do króla z bukietami i owocami nikt nic nie wiedział. Stwierdzono tylko, że pewne grono mieszkańców miasta Verdun zwiedzało przez ciekawość obóz pruski, ale całkiem prywatnie, bynajmniej nie w charakterze deputacyi. Król pruski rozmawiał z jedną tylko panią z owego grona (nazwisko jej Bonvilier Catoir), jeżeli można nazwać rozmową to, że król zapytał owej pani, czy w Verdun jest teatr, na co ta odpowiedziała jednem słówkiem *nie*. Okazało się nadto, że niejaka pani Mongant de Lalance, osoba 67 letnia, *miała zamiar* ofiarować królowi i jego oficerom koszyk ciastek, ale zamiaru tego nie wykonała. Nakoniec śledztwo wykryło, że dwie panny Wattein zaniosły i wręczyły cztery tysiące franków niejakiemu de Rodes, dawnemu przyjacielowi swej rodziny, który jako emigrant, znajdował się przy królu w obozie pruskim.

Oto wszystko. Więcej nie zdołała wykryć komisya, pomimo że Sommellier i Madin niewątpliwie byliby radzi wykryć „zdradę", którąby jak najwięcej ofiar dostarczyła gilotynie.

Że tak było, świadczą niedawno zbadane dokumenta urzędowe; nie było więc ani balu, ani ofiarowania bukietów i owoców, tak że to wszystko, co pisze Gete i co głoszono we Francyi spółcześnie i później o „sprawie verduńskiej", jest zmyśloną bajką.

Cała tedy sprawa okazała się błahą. Pomimo to, akta śledcze przesłano do Paryża, do tej złowrogiej i krwiożerczej komisyi, która, jakby na urągowisko, nosiła piękną nazwę „komitetu bezpieczeństwa publicznego". W owym komitecie referentem do tej sprawy zootał Cavaignac, a wniosek referatu był ten, żeby sprawę verduńską przekazać do osądzenia sądowi kryminalnemu departamentu Mozy. Pompatyczne zakończenie referatu Cavaignaca zawiera godną uwagi wycieczkę przeciwko płci niewieściej wogóle i zasługuje na przytoczenie.

„Dotychczas, pisze referent, rodzaj niewieści w ogóle szydził tylko z wolności. Wzięcie twierdzy Longwy przez nieprzyjaciół święcono balem. Płomienie, które zniszczyły Lille, przyświecały zabawom i tańcom. Kobiety to przeważnie nakłaniają Francuzów do emigrowania.

One to, wespół z księżmi, podtrzymują w Rzeczypospolitej ducha fanatyzmu i gotują kontrrewolucyą. Trzeba, żeby prawo *zaprzestało oszczędzać* kobiet; trzeba, żeby przykłady żelaznej surowości nauczyło je, że oko władzy nad niemi czuwa i że miecz prawa jest podniesiony, aby ich dotknąć, jeżeli okażą się winnemi."

Z tych słów widać, że we Francyi niewiele kobiet sprzyjało wtedy rewolucyi. Zresztą wymowny rzecznik równouprawnienia kobiet z mężczyznami wobec gilotyny, trudził się zbytecznie, gdyż straszne to równouprawnienie oddawna istniało faktycznie, niemało już głów niewieścich zmiotła gilotyna, a trybunał rewolucyjny niewiele miewał względów dla płci niewieściej...

Poszła więc sprawa verduńska do Sain-Mi hiel Zamieszane do tej sprawy osoby, trzymane dotychczas w Verdun w starym klasztorze, przewieziono do więzienia w Saint Mihiel. Upłynął rok cały, a sprawa nic nie postąpiła: widocznie sąd w Saint Mihiel nie podzielał zdania paryzkiego terorysty o konieczności oddawania jak największej liczby głów niewieścich pod gilotynę. Możeby cała sprawa była poszła w zapomnienie, jak na to zasługiwała i możeby tak było zeszło aż do upadku Robespierra i teroryzmu (w Czerwcu 1795 roku), co równałoby się ocaleniu obwinionych; ale sami uwięzieni przyczynili się do swej zguby. Przykrzyło się im siedzieć w zamknięciu tak długo, a nie poczuwając się do winy i mając widocznie zbyt naiwne wyobrażenia o sprawiedliwości sądów z epoki teroryzmu, naglili ciągle o przeprowadzenie swej sprawy. Nadto nieszczęście chciało, że do Saint Mihiel przybył Mallarmé, jeden z członków konwencyi i dowiedziawszy się o zalegającej sprawie, mocno tem zgorszony, napisał do Paryża. Skutkiem tego „sprawa verduńska" wzięła inny obrót. Ówczesny minister sprawiedliwości, Gohier, udzielił sądowi w Saint Mihiel surowe napomnienie za opieszałość w sprawie, gdzie chodziło o zdradę kraju i przypomniał zarazem, że na mocy prawa z d. 10 Marca 1793 roku, wyrokowanie w podobnych sprawach przysługiwało jedynie trybunałowi rewolucyjnemu w Paryżu.

Nie były to więc żarty. Sędziowie zadrżeli o własne głowy i przyłożyli starań, ażeby do dawnych wypadków śledztwa dodać nowe fakta. Pomimo jednak wszelkich usiłowań w tym kierunku, wznowione śledztwo nie wykryło nic ważnego.

Zdołano tylko odnaleźć woźnicę, który opowiadał, jako w kilka dni po kapitulacyi Verdunu, woził do obozu pruskiego towarzystwo, złożone z siedmiu pań i jednego pana i to bynajmniej nie wozem tryumfalnym, ale zwyczajnym drabiniastym.

Co tam ci państwo robili w obozie, tego ów obywatel-woźnica nie wiedział, gdyż Prusacy nie puścili wewnątrz obozu ani jego, ani owego pana, dozwoliwszy wstępu jedynie samym kobietom. Zresztą inni nowoodnalezieni świadkowie potwierdzili tylko, że Prusacy mało zważali na spacerujące po błocie towarzystwo. O przemówienin do króla pruskiego, biało ubranych pannach, kwiatach i owocach, po dawnemu, nikt nic nie wiedział.

(*Dokończenie nastąpi.*)

POWRÓT.

(Z zapomnianej ballady.)

Miał Arab rodzinę — na godłach rodziny
Nóż wroga przytępił swe ostrze.

K. Baliński — Palma zaklęta.

I.

„Nie idź, nie idź w świat, synu!
„Wiem — upaja wawrzynu
„Liść was młodych — ja temu nie przeczę —
„Lecz tuż za mną śmierć kroczy,
„A któż zamknie mi oczy
„I o siostrze kto będzie miał pieczę?

„Kipi w piersiach krew młoda,
„Jak u ojca! ah, szkoda,
„On nas także w dniach burzy porzucił;
„Czy dnie bólów najkrwawsze,
„Czy wesela dnie — zawsze
„Ja wierzyłam że wróci... nie wrócił!

„Dziś, jedyną pociechę
„Mam z ciebie — a któż strzechę
„Walącą podeprze — łan skosi?
„Gdy ty pójdziesz, mój drogi,
„Chwast zarośnie te progi...
„Zostań z nami — to matka cię prosi!"

„Zostań!" siostra powtarza,
Lecz sen szczęścia przeważa,
Kto wie, jaki tam święty dług może?

. . . .

Szedł gdzie życia wrze bitwa;
Za nim matki modlitwa,
I łzy siostry i ciche — szczęść Boże!

II.

W chacie pusto!
Choć błyska,
Z rodzinnego ogniska,
Jasny płomień — choć wszystko jak wczora —
Za wrzecionem spotkacie,
W czarnych szatach postacie
Dwie — lecz dusza tam jedna i chora.
Milczą; a gdy wiatr w borze
Wyje — albo na dworze,
Stare drzewa wichura przewraca, —
Drżą na dziwne te głosy,
I ze łzami w niebiosy
Patrząc, szepczą: to może on wraca?

Tak dnie biegną — tak lata,
Pewnie na kraj aż świata
Zaszedł... może tam jeszcze trwa praca?
Tylu zlanych krwią, potem —
Dawno cieszą powrotem
Swoich, a on — jak ojciec — nie wraca.

I znów patrzą w krzyż Pana;
Ah, to nasza, świetlana,
Cna natura niewieścia, skarb stary —
W szczęściu życia, w złej doli,
Co ją cieszy — co boli —
Bogu niesie na ołtarz ofiary!

III.

A młodzieniec tymczasem,
Błądził polem i lasem —
Lądem — morzem, pytając gdzie Eden?
Jasnych swobód motyle,
Przywabiały go mile,
Ale w siatkę wpaść nie chciał i jeden.

Kędy tylko na świecie,
Powstawały zamiecie,
Gdzie piorunem dłoń ludzka się zbroi —
Szedł i szukał...

Któż powie,
Co w młodzieńczej tkwi głowie?
Szukał miejsca na gruzy z swej Troi,
Leków na ból straszliwy,
Który jednak — o dziwy —
On ukochał jak dziecię swe własne;
Niósł go w piersiach, jak w arce,
Na żywota cne harce,
Zań on bliźnim chciał stworzyć dni jasne.
Chciał u wszystkich znów stanic
Ziemi, wiarą bez granic,
Dawne wskrzesić o jutrze zabiegi;
Jak Helwecki mąż cnoty, (*)
W swą pierś wszystkie wbić groty
I przełamać upiorów szeregi.

I dokoła pociechy
Słowa — albo uśmiechy,
Gorzkich szyderstw spotykał, a z dali,
Echem brzmiała boleśnie,
Pieśń wspomnienia i we śnie,
Widział tych, co go niegdyś żegnali.

Znane strony: wieś — rzeka,
Co w mórz głębię ucieka,
Niosąc tratwy, flisaków i pieśnie;
Stary pleban wioskowy,
Przyjaznemi go słowy
Witał — matka witała go we śnie;
I swój obraz tam na dnie
Stawu, widział dokładnie,
Słyszał borów szmer głuchy... na łanie
Poznał wołków swych parę,
I skowronki swe szare —
Rówieśnika w poważnym bocianie.

Raz, popatrzał w błękity,
W chmurach, na pół spowity,
Szlak o słońca zachodzie się krwawi,
Tam, od Wschodu.

„Mój Boże!"
Szepnął — „czy to być może?
„To szmer znanych, z Mazowsza, żórawi!

„Ah, wy ptaki podróżne,
„Drogi nasze są różne,
„Bo mnie na Wschód porywa tęsknota;
„Skrzydeł waszych mi — skrzydeł —
„Z łowczych umknąłbym sideł,
„I zapukał w znajome mi wrota,
„I jak zwiastun radości,
„Co tam dawno nie gości,
„Moich ojców znów jąłbym się roli;
„U nóg matki niebogi,
„I przy siostrze mej drogiej,
„Znów-bym odżył po latach niedoli!"

. . . .

Tak dnie biegną — tak lata.
Żal z rozpaczą się splata,
Zwiędły róże Południa... krew skrzepła
W chłodnej piersi... dokoła,
Nawet gwiazdki dla czoła!
Ztamtąd trzeba zaczerpnąć znów ciepła.

I zatęsknił!

„Ah, pora,
„Matka biedna tam — chora —
„Siostra!..."

...Zebrał łachmany tułacze;
On, co nie drżał w dniach burzy,
Dziś, gdy powrót los wróży,
Jak bezsilna dziecina drży — płacze!

IV.

Ogień, co tlał w iskierce,
Gdy raz zakradł się w serce,
Taki pożar rozniecił, że biedny,
Dniem i nocą, jak oczy
Niosą, na Wschód wciąż kroczy —
Chciałby w jednej tam chwili być... w jednej!

. . . .

Zmrok na dworze — bór znany
I znajome już łany
Widzi... świecą szeregiem ogniska
Z chat... lecz w jego coś ciemno:
„Boże! litość nade mną
„Miej — tam okno znajome nie błyska,
„Czyżby sen ich wraz zmorzył?"
Ah, czegoż to on dożył...
Lecz pierś dawną odwagą znów zbroi.
„Więc to... nie — ja się mylę...
„Tu przeżyłem lat tyle,
„Gdzież ma chata... gdzie matka... gdzie moi?...
„Tu, żegnałem niebogę!..."

. . . .

Krzyż przegradza mu drogę,
Na zwaliska jak męki znak wbity.
„Tutaj" — szepnął nieśmiało —
„Coś strasznego się stało!"
Spojrzał jeszcze i stanął jak wryty.

. . . .

Aż świt wstając różowy,
Z Chrystusowej blask głowy,
Przeniósł na twarz nędzarza, bez chaty,
Daremnie. Jak z opoki
Zimny — poszedł w szeroki
Świat i znów się tuła jak przed laty.
A nikt z braci, nikt z ludzi,
Cieszyć go się nie trudzi —
Bo gdzież leki na takie boleści?

Błądził długo, dokoła,
Cynizmem strasząc czoła
I bluźnierstwy... aż przepadł bez wieści.

* * *

Tak, są w życiu katusze,
Z ciałem, gubią i duszę,
Że gaśnie, jak zdeptana pochodnia.
A temu co swą strzechę
W gruzach znalazł, pociechę
Jak jałmużnę podawać... to zbrodnia!

Zygmunt Grabowski.

(*) Winkelried.

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Nazajutrz Żwan, ledwie świt szary przebił się przez zachmurzone niebo, już był na nogach. Całą noc zresztą nie spał, tak był wzburzony wczorajszemi wypadkami i wieściami. Dzień był, jak się rzekło pochmurny, ale spokojny. Burza i wicher całkiem ustał, a nad ranem nawet chwycił lekki przymrozek. Świat z okien dworu w Smolarzach, przedstawiał się dziwnie smutno i ponuro. Czarną, biedną wioszczynę, zasypaną teraz do połowy śniegiem, otaczały wielkie, ciemne, sosnowe lasy, dochodzące jedną stroną prawie pod sam ogród dworski. Te lasy ograniczały, zacieśniały widnokrąg i nadawały mu wyraz, zwłaszcza teraz w zimie, strasznego osamotnienia, straszniejszej tęsknoty i pustki. Przez wieś, ku lasowi, oddalonemu od niej o kilka stajań, szła droga, wysadzona połamanemi i pogiętemi wierzbami, które z pośrodka zasp śnieżnych wyglądały ze swemi suchemi gałęziami, jak kościotrupy. Zresztą w tej wsi, w tych polankach za nią i w tych lasach dokoła, po wczorajszej burzy i zawierusze, leżała ponura, niczem nie zakłócona cisza. Wrony tylko gromadami siadały przy drodze na suchych wierzbach i krakały wypatrując żeru, a szary świt zimowego poranku rozwłóczył powoli swe smętne światło na okolicę.

Żwan, wstawszy, ubrany w lisiurę, wyszedł na ganek swego dworu i stał tak, patrząc smutno na ten smutny świat i czekając na przybycie gromady, po którą był posłał podstarościego. Chciał właśnie z tej gromady wybrać najdzielniejszych parobków, żeby z nich utworzyć ten zawiązek sił, z którym chciał się wziąć za bary z całą szwedzką potęgą.

Zimno było. Ostry przymrozek przenikał do kości, więc Żwan chodził po ganku niespokojnie od słupa do słupa, trapiony ciężkiemi myślami. Zjawił się wkrótce przy nim i pan Samuel, poważny, zimny i drewniany jak zawsze i siadłszy na ławie, czekał spokojnie na gromadę, nie troszcząc się o zimno i mróz, który jego bronzowej, zawiędłej twarzy nie był w stanie nawet zaczerwienić. Ksiądz Jacek spał jeszcze, widocznie po wczorajszych libacyach, bo się nie pokazywał wcale. Zresztą obaj krewniacy nic nie gadali do siebie, tak ich pochłaniały myśli u wrót wielkiego przedsięwzięcia. Cisza leżała koło nich. Z oficyny tylko dochodził przytłumiony gwar dziewek i parobków, kury gdakały po dziedzińcu i czasem dobiegło posępne krakanie wron.

Nagle Żwan, który rzucał kiedy niekiedy wzrokiem na wieś i drogę, widną ztąd aż do samego lasu jak na dłoni, zatrzymał się i począł się czemuś

ciekawie przypatrywać. Spojrzał tam i pan Samuel i spostrzegł przy bladym blasku poranku zimowego, wlokącą się powoli po drodze ku wsi jakąś czarną postać.

— Kto to może być? — szepnął Żwan — czy to nie Kostusia? Tak, to ona!

Twarz jego rozweseliła się odrazu i zawołał:

— Będziemy mieli nowiny!

I już niecierpliwie chodził po ganku, zacierał ręce co chwila, stawał i patrzał na wlokącą się babę, bo już można to było widzieć, a nawet parę razy zeszedł ku bramie na dziedziniec, jakby chciał tem przyspieszyć kroku staruszce. Starowina ta bowiem zdawała się być, sądząc po jej przygarbieniu, po ruchach powolnych, choć zdradzających niekiedy dla uważnego spostrzegacza jakąś młodzieńczą energię, po kiju nakoniec, na którym z wysiłkiem się opierała. Kuląc się, potykając, przeszła wieś i stanęła w końcu we wrotach dziedzińca.

Żwan już nie mógł wytrzymać. Zbiegł z ganku i wołał:

— Kostusia! chodźże prędzej! wleczesz się jak za umarłym. Maszże nowiny?

Baba nic nie odrzekła, tylko powoli przeszła dziedziniec i stanęła przed gankiem. Była to kobieta wysokiego wzrostu, trochę zgarbiona, o kościstej twarzy, z której trudno było oznaczyć wiek jej właścicielki. Mogła czterdzieści, mogła i sześćdziesiąt mieć lat wieku. Z pod kraciastej chustki na głowie, zawiązanej wiejskim obyczajem w turban, wymykały się promienie kruczych, lekką siwizną posrebrzonych włosów. Nos prosty, czarne przenikliwe oczy, pełne jeszcze ognia i siły, twarz ściągła, usta zaciśnięte, zdradzały niepospolitą w niej kiedyś piękność i siłę woli. Twarz zresztą była chuda, okrostowaciała, opalona od słońca i wichrów. Kobieta ubrana była biednie, obdarto nawet, po wiejsku w spodniczynę z samodziału w czerwone i modre paski, otulona w dużą chustkę kraciastą i w buty wysokie. Stała wyprostowana, opierając się na wielkim kosturze, okutym na końcu ostro i milcząc, ciekawie przypatrywała się panu Samuelowi.

Żwan rzucił się do niej:

— Co słychać, Kostusiu, gadaj mi zaraz!

— Przecie tu na dworze gadać nie będę! — odrzekła szorstko, patrząc na Lniskiego.

— Ano.. to chodźmy do komnaty. Chodź Samusiu! — zawołał Żwan.

— To co mam wielmożnemu panu powiedzieć, nikt słyszeć nie może — ozwała się baba, nie ruszając się z miejsca.

— Ale głupstwo! To mój krewniak, wie o wszystkiem i w takim momencie bez niego się nie obejdę — zawołał żywo Żwan.

— Ha, jak pan chce!—mruknęła baba i wyprostowana, żwawo wstąpiła na ganek i poszła za krewniakami.

Wszystko to wydało się dziwnem panu Samuelowi. Ten respekt dla obdartej żebraczki, ta jej śmiałość, jej sposób mówienia i traktowania Żwana z partesu, wydał się osobliwszym panu Samuelowi. Ruszył ramionami i poszedł do tej samej komnaty, w której wczoraj jedli. Na kominie palił się tu suty ogień a przy szarym dniu zimowym i przy tym ogniu, komnata ta jeszcze posępniej jak wczoraj wyglądała. Znać tu było na każdym kroku dawną zamożność i dzisiejsze ubóstwo. Obdarte makatowe obicia, złocone niegdyś a dziś wytarte poręcze stołków i różnych sprzętów, których tu moc wielka była nagromadzona, bez ładu i składu, świadczyła, że pan tej izby był niegdyś bogatym człowiekiem a dziś pędzi żywot ubóstwa. Ze ścian kilka czarnych portretów pokazywało groźne, wąsate i surowe oblicza przodków Żwana.

Ledwie stanęli w tej mrocznej izbie, Kostusia zamknęła drzwi starannie i nie prosząc o pozwolenie, usiadła sobie na zydlu podle drzwi i podle komina. Nie podobała się panu Samuelowi taka konfidencya i już miał przeciw niej zanieść *veto*, gdy mu na to nie pozwolił Żwan, który drżąc z niecierpliwością stanął przy babie i nuż pytać:

— Zmiłuj się, gadaj, co się dzieje? Gdzie jest Kasia? czy w Krzepicach?

— A zkąd pan wie o tem?

— Zkąd... od księdza, który tu wczoraj przyjechał...

— Aa! od ojca Jacka. Widziałam go wczoraj w Załęczach. Ale cóż on tu robi? Miał jechać do Dankowa?

— Pobłądził i zajechał do mnie — odpowiedział żywo Żwan — ale co mi tam ksiądz. Gadaj o Kasi, od niej idziesz, może masz kartelusz? Dawaj! dawaj, na rany Chrystusa.

I wyciągał drżącą rękę.

— Nie mam żadnego karteluszu. Panna kasztelanka jest w niewoli u generała Horna w Krzepicach...

— Więc jest tam ciągle?

— A jest.

— Widziałaś ją?

— Idę z Krzepic... trudno tam kogo widzieć. W zamku bramy zamknięte, most podniesiony, straże na murach i zbliżyć się do murów nie wolno. Zaraz zabijają te heretyki. Bodaj ich Matka Boska Częstochowska oślepiła.

— A pani Grzybowska nic nie zrobiła?—spytał Lniski.

Baba zwróciła się do niego nagle i patrząc nań swemi czarnemi, jak węgle błyszczącemi oczami, rzekła:

— Nic nie zrobiła. Szwed psia wiara nawet jej nie wpuścił do grodu. Żeby szczezł psia jucha...

— A cóż w Dankowie słychać, co mówi kasztelan? — pytał Żwan.

— Byłam i w Dankowie. Pan kasztelan chodzi jak mruk po zamku i łamie sobie ręce. A co on uczynić może?... Teraz idzie z Wielunia wielka kupa Szwedów, jak mrowia tego z harmatami i wozami. Strach, jaka ćma. Dziś w nocy stali w Działoszynie i spalili pół miasta, a trzech mieszczan obwiesili, bijąc ich wprzódy batami. Powiesili synalka jedynego pana Jacka Brzuchańskiego, rzeźnika z Częstochowy. Pan go zna?

— Znam, znam, ale cóż kasztelanka? — wołał Żwan, niecierpliwiąc się okropnie.

— Mój Ignac — wtrącił spokojnie swym ponurym głosem pan Samuel — nie przeszkadzaj! Gadaj dalej babo!

— Hm! — odburknęła Kostusia, patrząc z podełba na pana Samuela — ja baba, a pan dziad. I kiedy mnie tak nazywają tutaj, to ja już nic gadać nie będę. Widzisz go! baba! Mnie tu wszyscy znają. Pan kasztelan Warszycki to mnie głaszcze pod brodę, a pan Celary z Lublińca, sadza przy stole. A waść kto jesteś? przybłęda jakiś i basta.

I obracając się do Żwana, kiwnęła mu głową i powiedziawszy:

— Bądź pan zdrów; ja tam nie siedzę, gdzie człeka uszanować nie umieją — ruszyła ku drzwiom.

Pan Samuel skamieniał. Wyprostował się jak struna, wytrzeszczył swe maleńkie oczka, nastroszył groźnie wąsy i miał taką minę, jakby się chciał rzucić na zuchwałą babę. Ale kiedy zobaczył, jak Żwan za nią poskoczył i chwytając ją za zapaskę, począł prawie błagać, by została, tedy splunął tylko głośno, odwrócił się i począł miarowym krokiem chodzić tam i napowrót po komnacie, dzwoniąc głośno ostrogami.

Tymczasem baba dała się ubłagać, a głównie zatrzymały ją słowa Żwana:

— My chcemy w nocy dziś napaść na Krzepice, ja i pan Lniski mój krewniak i mocą odbić kasztelankę.

— Napaść na Krzepice! — powtórzyła, czemu nie? co ludzie zbudowali to i ludzie zburzyć mogą.

I obracając się ku chodzącemu po komnacie panu Samuelowi, zapytała:

— To to jest pan Lniski? Znam ja pana dawno, paneś tu za nieboszczyka starszego pana polował w Smolarzach. Znam ja pana... ale to kupa lat temu i pan teraz na dziada patrzy...

Lniski zatrzymał się, groźnie popatrzył na babę, mruknął coś przez zęby i znowu począł chodzić od kąta do kąta. Tymczasem Żwan gadał:

— Nie odchodźże, moja Kostusiu, ty nam możesz dopomódz. Powiedz gdzie siedzi panna kasztelanka!

— A zkąd ja mam wiedzieć?—odburknęła baba. — Nic nie wiem. Hm! więc pan chce wojnę wieść ze Szwedami! Czemu nie? Ksiądz przeor na Jasnej Górze także będzie z nimi wojował. Albo to oni nietykalni? Same pogany, jeno rzezać biednych ludzi, palić i rabować... O! o! o! co oni porobili w Działoszynie, to włosy na głowie powstają. Panienki niewinne porywali i dzieciaczki rzezali. Żeby ich ogień spalił, woda zalała, trąd zjadł, święta ziemia pochłonęła! Żeby z głodu pozdychali, żeby ich mór wytracił, żeby im kobiety nie rodziły...

Przeklinała ich tak strasznie i z taką widoczną nienawiścią, że pan Samuel stanął i patrzył na nią teraz całkiem innemi oczami.

— Widziałam ich hetmana. Miller się zowie, Szwab taki paskudny, że obrzydzenie patrzeć na niego. Spasły psubrat, a podbródek to mu się tak trzęsie jak galareta. Jeno palić i wieszać! Żyły z niego pruć. Ja żebym go dostała w ręce, baba jestem, a na wolnym ogniu bym go piekła, roztopiony ołów mu w gardziel opasły lała...

Usiadła znów na zydlu i w gniewie tłukła okutym kosturem o posadzkę.

— Dużo jest Szwedów w Krzepicach?—zapytał nagle pan Samuel, stając przy babie.

Drgnęła, spojrzała na mówiącego i rzekła:

— Pan to tak gada, jakbyś z trumny wstał. A możeś pan nieboszczyk. Teraz takie czasy, że nieboszczyki wstają z grobów. Sądny dzień przyszedł.

I powstawszy z zydla, poczęła drżącym, dziwnie smętnym głosem śpiewać.

Przez czyśćcowe upalenia,
Którzy znoszą mąk cierpienia,
Łzy leją bez pocieszenia,
Żebrząc Twego użalenia
O Marya!

Tyś źródło grzechy czyszczące,
Wszystkim zdrowie przynoszące,
Posilaj umierające,
Ratuj męki ponoszące
O Marya!

Skończyła śpiewać, usiadła znów na stołku i błędnemi oczami spoglądała dokoła. Pan Samuel żegnał się i szeptał głośno pacierze, a Żwan smutny i zamyślony wpatrzył się w ognisko komina.

Baba tymczasem po krótkiem milczeniu poczęła znów gadać:

— Synaczka pana Jacka Brzuchańskiego powiesili wczora w Działoszynie. Patrzałam na to memi ślepiami i od łez mało nie oślepłam. Wyszła jego niewiasta i plackiem do nóg na rynku, na błocie, padła temu psu Millerowi. Kopnął ją, aż się potoczyła... O! bodajbyś ty przy skonaniu ją widział, tę białogłowę i skonać nie mógł!... O bodajby ciebie robacy za życia jedli, bodajby ci ciało gniło, bodajbyś przez całe wieki w piekle się smażył!...

Trzęsła się cała z gniewu czy oburzenia.

— A! pan pytał, siła Szwedów w Krzepicach? Wiemci ja dobrze, ilu ich tam jest, bo mi jeden szewczyk z Krzepic, bodaj mu Najświętsza Panna Częstochowska to wynagrodziła, gadał. Jest ich sto samego komuniku. I tam trzymają pannę kasztelankę, białą, czystą panienkę, między żołdakami, między poganami ostatnimi...

Żwan na te słowa chwycił się oburacz za głowę i zataczając się jak pijany, ryknął wielkim płaczem. Ale uspokoił się zaraz i chwytając za rękojeść miecza w kształcie krzyża, przytknął doń dwa palce i zawołał:

— Nie spocznę, nie wejdę pod dach ni pod namiot, nie zaznam co to dom, dopóki tego Horna nie dostanę i dopóki jedna noga Szwedzka w Rzeczypospolitej znajdować się będzie. Tak mi Boże dopomóż!

— Amen! — dokończył ponuro pan Samuel.

— Niech ci Bóg błogosławi panociku, niech cię Najświętsza Panna Częstochowska strzeże!—wołała Kostusia. — Ja idę do Częstochowy, bo trzeba bronić Jasnej Góry od plugastwa szwedzkiego, ale ja będę miała oko na pana. Stara Konstancya przyda się jeszcze, przyda. A ja też tu coś panu pokażę, coś pokażę...

I poczęła rozwiązywać tobołek z brudnych szmat złożony, który miała pod chustką. Z pośrodka mnóstwa gałganów, wydobyła nakoniec paczkę papierów starannie owiniętą i jeden z tych papierów podała panu Samuelowi.

— Czytaj, pan, jeśli się znasz na książkach.

Pan Samuel wziął, rozwinął papier i swym grobowym głosem począł:

„Jan Kazimierz z Bożej łaski, król polski, wielki książę litewski, dziedziczny król Szwedów, Gotów i Wandalów, książę ruski, pruski, mazowiecki etc. etc. etc. Wiadomo wszystkim czynimy..."

— Co to? — przerwał Żwan — uniwersał królewski?

— Tak, uniwersał, datowany z Opola na Szląsku — odrzekł pan Samuel i czytał dalej — jako król użalając się wielkiej niedoli ojczyzny, wzywa wszystkich do obrony przed Szwedem.

„...komu Bóg i wiara jego święta pierwsza nad wszystko dobro, komu sława narodu, nigdy przedtem nienaruszona a teraz zrażona, komu swobody i wolności inszym narodom pożądane litość czynią, przeciwko temu nieprzyjacielowi Uprzejmości i Wierności Wasze powstańcie. Jeden do drugiego, trzeci do dwu, czwarty do trzech, piąty do czterech i tak *per consequens*, by też każdy z własnymi swymi poddanymi zgromadźcie się, a gdzie słuszna na jaki odpór usiedźcie się, tam sobie wodza obierzcie dopiero."

Przeczytawszy te słowa, pan Samuel, z twarzą dziwnie rozjaśnioną, dobył swego wielkiego miecza z pochwy i potrząsając nim, wołał strasznym głosem:

— Niech żyje król i Rzeczpospolita! Śmierć Szwedom!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. P.

(Dalszy ciąg.)

Niedługo trwała wątpliwość winowajcy, spostrzegł uzbrojonych żołnierzy i błyszczące wśród zmroku lufy karabinów. Robert na czele swych podkomendnych zbliżył się do niego i odczytał uroczystym głosem wydany przez majora wyrok. Lękając się pierwszego uniesienia Niemca, kazał nadstawić bagnety, aby nie dopuścić następstw rozpaczy.

Obawa była próżną, John nie myślał wcale o walce, chwilę stał jakby ogłuszony, a odzyskawszy przytomność począł szlochać, prosić o zmiłowanie, upadł na kolana obiecując poprawę, przysięgał na wszystkie świętości, że skona z głodu a nie naruszy więcej złożonych w magazynie zapasów. Robert choć widokiem tym wzruszony był prawie do łez, nie miał jednak prawa zmieniać odebranego rozporządzenia, nie powinien był nawet zezwolić winowajcy stanąć przed obliczem dowódzcy. Spełnił to jednak i poprowadził Johna do majora. Powtórzyła się tu po raz drugi jedna i ta sama scena, skazany upadł z głuchym jękiem na kolana, błagał o litość w imię swej małżonki, w imię drobnych dziatek, w imię zbawienia duszy i t p. Major nie odpowiedziawszy ani słowa oddalił się pogardliwie w inną stronę obozu. John spostrzegłszy, że za pośrednictwem prożby i pokory nie ocali życia, pomyślał dopiero o obronie, oświadczając, że nie wyjdzie dobrowolnie z obozu i jedynie tylko przemocą można go będzie poprowadzić na miejsce egzekucyi. Widocznie liczył na swoich wspólników wymieniając ich po nazwisku i wzywając, aby stanęli w jego obronie.

Z rozpaczą jednak spostrzegł ogólne milczenie, a jednocześnie uczuł ostrza bagnetów opartych o jego piersi.

Na wypadek walki, zanimby zdołał zadać jakikolwiek cios, przeszytym byłby na wylot.

Nie było więc innego środka jak wyjść z obozu, zwłaszcza, że pod odkrytem niebem mając mniej przeciwników, sam jako bardzo silny, przeciw ludziom wycieńczonym głodem, mógł się skuteczniej bronić z niejaką nadzieją ich pokonania.

Skoro więc tylko oddalili się dostatecznie od obozu, rozpoczął walkę zawziętą, najmłodszego z nich uderzył tak silnie pięścią, niespodzianie, że ten z głuchym jękiem upadł na ziemię i nie mógł z niej powstać, karabin wypadł z jego rąk, ale na szczęście tak daleko, że skazany nie mógł go pochwycić. Robert i jego towarzysz zdwoili ostrożność nie spuszczając ani na chwilę z oczów winowajcy i zniewalając go do cofania w kierunku cmentarza, jako wyznaczonego na miejsce spełnienia wyroku. Obydwaj podobni więcej do umarłych niż żywych, zniewoleni byli odebrać życie, choć człowiekowi wprawdzie bardzo niegodziwemu, ale zawsze bliźniemu, który przez długi czas był ich towarzyszem, należał do urządzanych wycieczek, podzielał niebezpieczeństwa i późniejszą nędzę. Zimno było przejmujące, wiał wiatr północny, podczas rana spadł gruby pokład śniegu, niebo było pochmurne, powietrze ciężkie, duszące, zgodne ze szczegółami odgrywającego się dramatu.

Przed wykonaniem egzekucyi, Robert jako szczerze religijny człowiek, nie chciał pozbawiać życia skazanego, nie dawszy mu poprzednio odpowiedniej chwili czasu do skupienia ducha i błagania Stwórcy o odpuszczenie popełnionych grzechów.

Zresztą John mógł pozostawić jakieś zlecenia, których spełnienie w miarę możności każdy uczciwy człowiek uważa za święty obowiązek.

Dał on niewątpliwie dowody straszliwego samolubstwa i jak to bywa po większej części padał ofiarą takowego, ale okoliczności w których żyli zasługiwały na uwzględnienie, należało więc zachować pewną ludzkość przy wykonaniu wyroku.

— John — rzekł Robert wzruszonym głosem — przed opuszczeniem ziemi, czy nie chcecie powierzyć nam jakiego zlecenia?

Zamiast odpowiedzieć winowajca korzystał z chwilowego wypoczynku i rzucił się nagle na jednego z żołnierzy, któremu wyrwawszy z rąk karabin z szybkością błyskawicy odwiódł kurek zmierzywszy do piersi Roberta.

Twarz jego wyrażała groźbę, radość i nadzieję ocalenia życia. Jeżeli tylko zdoła zabić Roberta, z łatwością pokona rozbrojonego żołnierza jednem uderzeniem kolby, drugi zaś żołnierz nie przedstawiał żadnego niebezpieczeństwa, bo po swym upadku z trudnością podjął z ziemi karabin.

John jednak zanadto był wzruszony, aby wymierzyć celnie, strzelając chybił, a w tej chwili dał się słyszeć jednocześnie podwójny strzał i dwie kule strzaskały głowę skazanego, bez ruchu rzucając go na ziemię.

Robert zbliżył się z pistoletem w ręku, aby w razie potrzeby przerwać resztki życia, ale czynność ta była zbyteczna; mimo troskliwego badania nie dostrzeżono najmniejszego drgnienia ciała. Należało zająć się pogrzebaniem trupa, lecz wykonawcy sprawiedliwości byli zanadto zmęczeni, przytem należało opatrzyć żołnierza uderzonego przez Johna, odłożono więc tę czynność do dnia następnego.

Po przybyciu do obozu, zrobiono szczegółowe sprawozdanie majorowi, który zbadał osobiście stan poszkodowanego młodego żołnierza i przekonał się, że nie miało miejsca, ani wybicie ze stawu, ani złamanie ani skręcenie nogi, ale poprostu silne stłuczenie. Leczenie nie wymagało innych starań prócz wypoczynku.

Major spisał protokół spełnionej egzekucyi, zao-

patrzył takowy podpisami świadków i wydał rozkaz pogrzebania ciała wdniu następnym na wspólnym cmentarzu.

XI.

Cały świat uczony na dwóch półkulach, oczekiwał niecierpliwie na wiadomości od majora Greely. Wyprawa ta była niejako przednią strażą następnych, mających być wysłanemi ku Północnemu biegunowi. Powzięto więc z wielkiem niezadowoleniem wiadomość, że wysłane w roku 1882 posiłki nie doszły do miejsca swego przeznaczenia.

Niezadowolenie zwiększyło się po nieudanej wyprawie w roku 1883, dzienniki wszystkich krajów bez wyjątku naganiały okazaue przez Amerykanów niedbalstwo, czy też nieudolność. Złowróżbne pogłoski rozeszły się po całej kuli ziemskiej z szybkością telegrafu, wieści te przywiozły okręta duńskie mające w czasie żeglugi sposobność spotkania się z Eskimosami, którzy w wycieczkach swych znaleźli przedmioty porzucone przez białych rozbitków, mianowicie łodzie i psy, a nawet widzieli ich samych błądzących po nad brzegami cieśniny. Szczegóły te dozwalały odgadnąć do pewnego stopnia dzieje wyprawy; major Greely i jego podkomendni nie otrzymawszy przez dwa lata zapowiedzanych posiłków, nie chcieli pozostawać dłużej wśród gór lodowych, ale postanowili wrócić jak najspiesznej do ojczyzny, prawdopodobnie z bogatym zapasem uskutecznionych zdobyczy naukowych.

Porzucając warownią Conger, gdzie zapewnione mieli utrzymanie, dali dowody wielkiej odwagi, ale niestety późniejszy ich los był nader wątpliwy i można było lękać się najgorszych następstw. W podobnych okolicznościach nie ma jednej chwili do stracenia; kilka godzin zwłoki może stanowić o życiu nieszczęsnych rozbitków. Obok tych względów, głos opinii publicznej nakłonił admiralicyą amerykańską do wielkiego pośpiechu; w prędkim czasie dwa najpiękniejsze okręty Ours i Tethys gotowe były do podróży, z któremi miał popłynąć jednocześnie i okręt handlowy, napełniony różnorodnemi zapasami.

Wypada wspomnieć słów kilka o podarunku angielskim.

Anglicy i Amerykanie, jak wiadomo zostają w częstych nieporozumieniach; źródłem takowych są niewątpliwie wspomnienia dawnej przewagi i zależności, znajdujące do dziś dnia echo w spółzawodnictwie na polu handlu i przemysłu. We wszystkich jednak sprawach dotyczących cywilizacyi i postępu, dwa bratnie narody idą zgodnie ręka w rękę użyczając sobie wzajemnie pomocy. W czasie urządzanych wypraw dla odszukania kapitana Franklina, Amerykanie nie szczędzili ofiar w ludziach i pieniądzach, aby ułatwić spełnienie zamierzonego celu. Zbieg wypadków dozwolił Anglikom odwdzięczyć się w sposób godny wielkiego narodu. Przyjąć bezpośredniego udziału w wyprawie nie mogli, lękając się obrazić miłość własną Amerykanów.

Znaleziono przecież inny środek do zrobienia podarunku w sposób zadawalniający obydwie strony.

W czasie poszukiwania nieszczęsnego Franklina, jeden z okrętów angielskich, zatrzymany przez lody, opuszczony był przez załogę. W następnym roku, skutkiem gorętszego lata, statek uwolniony z krępujących go więzów, przeszedł w posiadanie amerykańskich marynarzy, którzy nie korzystając z zapewnionego przywileju przez prawo morskie, zwrócili go bez przyjęcia nagrody, pierwotnym właścicielom. W tym stanie rzeczy, admiralicya angielska chcąc spłacić choć w części zaciągnięte długi wdzięczności, ofiarowała na zamierzoną wyprawę okręt Alert, zbudowany umyślnie do wycieczek wśród podbiegunowych lodów, słynny z mocy, co stwierdziła dokładnie uskuteczniona już w tym kierunku podróż. Przedwstępne więc przygotowania dokonane były z wielką starannością, a co ważniejsza naczelne dowództwo powierzone było już nie oficerowi kawaleryi, ale panu Sbley, zajmującemu wyższy stopień w marynarce i znanemu z doświadczenia, przezorności i nauki.

Pierwszy Tethys ruszył w drogę, we dwa dni później Ours; obydwa statki spotkać się miały na brzegach Nowej Ziemi w zatoce ś go Jana.

Puszczono się w podróż w pierwszej połowie Czerwca, mimo wielkiej jeszcze w tej porze roku twardości lodów, ale nie chciano zwlec ani o jeden dzień zamierzonej podróży.

Komandor Shley postanowił odszukać majora Greely, przewieźć go żywego lub umarłego do Ameryki, w celu uczczenia człowieka ginącego dla nauki.

Po nastąpionem spotkaniu okrętów w oznaczonem miejscu, dalsza podróż była ustawiczną walką, do której używano kolejno lub jednocześnie pary i dynamitu. Okręt Ours pierwszy skruszył nagromadzone lody, przeszkadzającedo dalszej podróży; żelazne drągi uderzając całą siłą pary, ułatwiły mu przepływ, w części niwecząc w części usuwając napotkaną zawadę. Odtąd statek ten trzymał pierwszeństwo przed innymi, a nawet zniewolony był zatrzymywać się od czasu, aby nie stracić z oczów swych towarzyszów. Nie było to wcale zasługą dowódzcy ale okoliczności, poruszone bowiem lody przez płynący na czele okręt, zamiast ułatwiać utrudniały przepływ następnym, gdyż często w miejsce usuniętych zjawiały się inne jeszcze większe góry lodowe, przez które nie mogąc ani przecisnąć się, ani takowe rozbić, wypadało opływać naokoło, co częstokroć było powodem wielkiej zwłoki.

W chwili w której Ours znalazł się w pobliżu przylądka Izabeli, oddalonym był od innych statków o kilka mil morskich; porozumiewał się z niemi jedynie za pośrednictwem umówionych strzałów armatnich. Dowódzcą okrętu, stanowiącego przednią straż wyprawy był kapitan Ash, który rozkazał zarzucić kotwicę, tam właśnie, gdzie wedle udzielonych przez amerykańską admiralicyę wskazówek, powinni byli znaleźć majora Greely, lub przynajmniej niewątpliwą wiadomość o jego losie.

Niebezpiecznie było zbliżać się do brzegu nazywanego przez marynarzy piekielnym; trzeba użyć do tego parowej szalupy, na której pokład weszli wyznaczeni marynarze i sam kapitan.

Mimo starannego badania lądu, przy pomocy zbliżających szkieł, nie dostrzeżono nigdzie żadnego śladu pobytu ludzi; *Kern* tylko posługujący do przechowywania zapasów żywności i piśmiennych informacyi, widoczny był z daleka. Tam właśnie miano nadzieję dowiedzieć się o losie rozbitków, w razie zaś przeciwnym byliby zmuszeni błądzić długi czas po cieśninie. a może uledz takiemu samemu jak i oni losowi, bo przyjmowano tylko na pokład okrętów ludzi podpisujących deklaracyą, że bezwarunkowo nie wrócą do ojczyzny przed odszukaniem majora Greely. Kapitan Ash przewidujący z zasady najgorszy zbieg wypadków, był pewnym, że nie znajdą żadnych wiadomości we wnętrzu *Kerna*, do którego przybyli.

Na szczęście omylił się i wkrótce wydał okrzyk radości, skoro sięgnąwszy ręką wydobył wielką kopertę opieczętowaną i zawierającą pismo nieszczęsnego Lockwooda.

Treść zrobionego sprawozdania była milczącem oskarżeniem dla dowodzących posiłkowemi wyprawami, które przez źle urządzone składy żywności nie przyniosły naukowej kolonii żadnej korzyści.

Kapitan Ash klął prawdziwie po amerykańsku, ale jednocześnie ubolewał nad losem majora i jego towarzyszów pozbawionych przez tak długi czas wszelkiej pomocy. Ale porucznik Lockwood zostawił tak dokładne wskazówki dotyczące miejscowości w której znajdował się obóz Clay, że nie było obawy zabłąkania się.

Za pośrednictwem karabinowych strzałów, kapitan Asch powiadomił ludzi strzegących szalupę o znalezieniu pewnych śladów dotyczących majora Greely. Takim samym sposobem przesłany został rozkaz załodze okrętu Oursa, aby nie traciła z oczów szalupy.

Stosownie do pozostawionych instrukcyi, zastępujący kapitana Asha strzałami znów armatniemi zawiadomił komandora o kierunku dalszej podróży.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Treść: Fałszerze nauki. — Mędrkowie tegocześni. — Ich wnioski i wpływ na złych i głupich. — Ich rozumowania. — Postęp i postępowi. — Następstwa. — Przyczyny. — Pojedynek dzieci. — Zarozumiałość nowych apostołów wiedzy. — Oddziaływanie przeciw fałszerzom nauki. — Brak jego u nas. — Jednostki i ogół. — Pożar w Żelechowskiem. — Karnawał. — Oszczędność. — Bal kawalerski. — Truppa francuzka.

Świat zaczyna się poruszać przeciw fałszerzom nauki, podającym nie kłamstwa za prawdy naukowe, ale wnioski z nowych zdobyczy wiedzy rujnujące moralnie niedouczków, niezdolnych do krytycznego sądu podawanej im strawy.

Darwin badaniem tajników natury doszedł do teoryi wiele prawdy mającej w sobie, o jakiej przedtem na prawdę nie śniło się nawet największym filozofom. Ludzie nauki przyjęli je z uszanowaniem, ludzie gruntownie wykształceni z podziwem a patentujący samych siebie na mędrców z bałwochwalstwem i ci krzyknęli wielkim głosem: A więc wszystko było kłamstwem, jak nas dotąd uczono!

W świecie całym toczy się walka na śmierć i życie, o kęs chleba, o miejsce, kto silniejszy bezkarnie wypiera słabszego, uprzedza w pogoni za zdobyczą, schwyconą odbiera a zdobywcę bije, tłucze, ze skóry obdziera a nawet morduje gdy się zbyt broni. I wolno mu to, bo ma siłę, kły mocniejsze, szpony ostrzejsze, pazury jak sztylety i samolubne uczucie siebie nad wszystko stawiające. Patrzcie, mówiona, jak walka ta w całym rozwija się świecio, zarówno między roślinami, jak zwierzętami, mieliżby tylko ludzie być od niej wolni?

Tak nie jest! Zawrzeszczono tłumnie, człowiek jest także zwierzęciem, tylko gatunku najbardziej udoskonalonego. Świat podbił i ciągle podbija pod swą władzę, bo ma siłę przez zwierzęta nie posiadaną a o korzyści z tego walczy z drugimy także siłą, podstępem, sprytem a nawet nauką, jak zwierzęta kłami, szponami i pazurami. Wszystko zatem co nam głoszono dotąd za prawdy rozwiązujące najważniejsze zagadki ludzkiego bytu na ziemi, prawidła ztąd wyciągane dla społecznego porządku, są wymysłem na kłamstwie opartem bez znaczenia i mocy obowiązującej. A więc huzia! na przeszłość całą, giń, przepadnij, zatrać się nawet w pamięci, jako zła, głupia, marząca, bredząca i głupotą swoją kołowata.

I głupstwo rzeczywiście podniosło głowę, spojrzało na krzykliwych apostołów z uwielbieniem, tak usprawiedliwiających ich ciemnotę i słuchając ich tylko głosu, czytając ich jedynie wywody, głoszące wydobycie świata z pod pleśni wiekowych przesądów, zapragnęło zaraz z nowego rozumu praktyczne odnosić korzyści.

I nie u nas to się tylko działo, u nas półgłówków Zachodu naśladowała garstka równych im półgłówków, głosząc siebie za jedynych przedstawicieli postępu.

O! bodaj taki postęp, nigdy był do nas nie przywędrował! Druzgocząc wiarę, rujnując wypływające z niej przepisy moralności, te najważniejsze spójnie społecznego porządku, jak zaraza w bagnisku wylęgła, jako tumany szarańczy, niby chmury słońce zaciemniające, zatrząsł wszystkiem do gruntu, wszystkie złe popędy uprawniając.

I odtąd zaczął się cały szereg przestępstw i zbrodni dawniej nie bywałych: zabójstwa, kradzieże, rabunki, podstępy, samobójstwa nawet między małoletniemi, weszły na porządek dzienny, gdyż w obałamuconych umysłach fałszywemi z prawd naukowych wnioskami, poczucie złego i dobrego znikło w sumieniach.

Psychologia ludów, która na podstawie statystyki pyta o powody wzrostu złych czynów, upatruje je w chorobie i nędzy duszy; my sądzimy iż obałamucenie głów nieuczków fałszerstwami naukowemi jest jeżeli nie głównym, to z pewnością jednym z głównych powodów wzrostu dzisiejszych przestępstw i zbrodni. One to sprowadziły zepsucie obyczajów, podkopały powagę związków małżeńskich i starły z rodzinnego życia tradycyjny urok patryarchatu rodzicielskiego: one wywołały w sztuce i literaturze kierunek realistyczny nagiego naturalizmu i stworzyły to, co kronika ostatnich czasów, jako skutki propagandy ateistycznych i anarchicznych partyi, zapisuje na bańbę postępu.

Stare to dzieje, powiecie, ale następstwa coraz świeższe, coraz straszniej się ponawiające, nie dadzą o nich zapomnieć, ucząc przyszłość większej oględności. Oto niedawno w Bordeaux odbył się pojedynek między dziewięcioletnim Klemensem Boucher i dziesięcioletnim Maksem Toulon, uczniami klasy pierwszej tamtejszego gimnazyum a więc pomiędzy dziećmi jeszcze nie umiejącemi głębiej zastanawiać się, zaledwie rozglądającemi się po świecie, jak przez mgłę pojęć w głowinach ich dopiero kiełkujących. Malcy pobili się z powodu nagród rozdanych w szkole i Boucher wyzwał Foulona na pistolety, które zabrał z sypialni ojca, wyższego oficera w armii. Czterech sekundantów, w tych samych latach, odmierzyło w odludnym lasku metę na dwadzieścia kroków... dziecięcych i Foulon jako wyzwany, dał pierwszy strzał i tak nieszczęśliwie, że Boucher ugodzony w piersi kulą, zmarł na drugi dzień w domu rodzicielskim.

Może ktoś spyta, co z wypadkiem tym mogą mieć wspólnego nauki niedouczków, wspinających się na palce wielkości jak żaba, pragnąca dorównać koniowi? Jest-to związek bardzo łatwy do określenia.

Mający odwagę tak siec na prawo i lewo odwieczne zdobycze rozumu całej ludzkości i obryzgiwać je błotem pogardy płytkiego swego rozumku, daje dowód niczem niezbitej zarozumiałości trudnej nawet do określenia.

Uczeń takiego równie się wielkim uzna w swojem przekonaniu, a gdzie pojęcie podobne zapanuje, tam następstwa wszelkie choćby najgorsze są możliwe.

Któż nie przyzna rozwinięcie się tej wady w straszliwy sposób, pomiędzy młodzieżą już wyrastającą? Każdy zaledwie w świat wejdzie jako pracownik w obranym zawodzie, już domaga się jako rzeczy przynależnej sobie prawie jednoczeście z odebranym patentem na rozum, stanowiska wielkiego, dochodów, sławy, uwielbienia, czci publicznej i rozgłosu zdobywanego jedynie długą, sumienną i mozolną pracą.

Jam mądry! woła nadęty pychą, należy mi się to wszystko, nie jutro, nie kiedyś, ale dziś, zaraz, bo was wzgardą obrzucę.

I w powstałym ferworze, roztrąca wszystkich, pomiata wszystkiem, wszystko poniewiera i lekceważy, bo jako niby pokrzywdzony czuje się w prawie wszelkiemi sposobami zdobywać to co mu się przynależy. Młodsi od niego, a nawet bardzo młodzi patrzą, podziwiają i naśladują a z pochwytanych tu i owdzie zdań i myśli niby postępowych, budują gmach własnych pojęć namaszczając siebie na skończonych mędrców. Jako więc tacy dlaczego nie mają się pojedynkować a nawet i zabijać? Czyż starsi tak samo nie robią?

Oddziaływanie przeciw fałszerzom nauki jest więc konieczne, i zabrali się do tego najpierwsi Francuzi, najskuteczniejszym orężem bo sumiennem zestawianiem prawd nauki z prawdami objawionemi i przechowywującemi się w głębi serca każdego. Za nimi poszli Włochy i Niemcy, jedni tylko Anglicy w tym kierunku żadnej nie rozwinęli pracy, bo trzeźwy ich umysł od pierwszej chwili odepchnął fałszerzy nauki i nie dozwolił siać im zepsucie.

U nas obowiązek oddziaływania stara się spełniać Przegląd Katolicki, ale niestety, nie widnieje w nim nigdy kapłan duchem Bożym natchniony, tylko członek inkwizycyi świętej, gotowy do rozpalenia stosu, gdyby mu wolno było, to zrobić. Chrystus miłością świat zwyciężył, niechaj więc i Przegląd Katolicki stara się miłością pokonywać fałszerzy nauki.

U nas też oddziaływania systematycznie prowadzonego nie ma właściwie, rażone jednostki jadem zarazy giną, ale ogół bez żadnej skazy jaśnieje cnotami ojców, wyzwając się z błędów im niegdyś właściwych.

Otóż parę miesięcy temu, pomiędzy Stoczkiem a Żelechowem w dobrach I. spaliły się niedawno stodoły i spichlerz z całą krescencyą, na nieszczęście nie ubezpieczoną. Strata wynosząca kilkanaście tysięcy rubli, byłaby zrujnowała właściciela, ojca licznej rodziny, sąsiedzi jednak chętnie mu przyszli z pomocą. Część inwentarza obiecano przezimować, dla reszty zobowiązano się dostarczać paszy, a co większa zsypano około tysiąca korcy zboża, co już stanowiło radykalną pomoc. Włościanie nawet z własnego popędu wzięli w tem dziele udział uczynności sąsiedzkiej, gdyż pogorzały właściciel wychodząc ze wszystkiemi po ludzku i po obywatelsku, umiał sobie ich serca zjednać.

Fakt ten a i więcej podobnych, jakich nie brakuje mogą rozjaśnić czoło najbardziej zachmurzone. Ta łączność, to skupianie sił wielu dla ratunku jednego, to chętne podanie ręki upadającemu bratu z ofiarą z samego serca płynącą, bogdaj czy nie u nas jednych się praktykuje. Tam na Zachodzie różnych podobnych posług dopełniają odpowiednie stowarzyszenia a nie spółki prywatne, krocie na ubezpieczonych zarabiające. U nas takich stowarzyszeń nie ma...

Po tych gorzkich żalach z jakiemi nie lubię występować, boć ich wszyscy mamy po uszy a nawet wyżej czubka bardzo płasko ułożonego, choć słówko o karnawale będzie zapewne pożądane. Nowego jednak nic nie ma. Warszawa bawi się jak może, na rady oszczędności wzdycha ciężko, kiwa głową, kręci nosem i po balu panieńskim zamierza wydać bal kawalerski ze składką po 50 rubli od każdego z kawalerów. Na pierwszą zaś wiadomość o zjeździe trupy francuzkiej na dwa przedstawienia, rozkupiła wszystkie bilety po cenie trzy razy droższej od zwyczajnej.

Pieniędzy więc nie brak, jakby z narzekań sądzić należało, a że tam gdzieś na poddaszu lub w suterynie, bieda głodzi, ziębi i dokucza, toć nie widać jej łachmanów, ani nie słyszy się stękań często z krzykiem rozpaczy połączonych.

Nie ma wątpliwości, że rozrywka nie jest zdrożną, nie przeciw niej też głos podnoszę, ale przeciw zbytkowi.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Smutna rocznica.** Dnia 15 b. m. w kościele Ś-to Krzyzkim oświetlonym i ubranym kirem, odbyło się uroczyste nabożeństwo za spokój duszy A. E. Odyńca, jako w rocznicę jego zgonu.

Kościół był napełniony tłumem przyjaciół i wielbicieli znakomitego poety, amatorowie i artyści odśpiewali kilka utworów religijnych, świat naukowy i literacki miał licznych reprezentantów na tej smutnej uroczystości.

Pierwszy to rok, upłynie ich jednak wiele, bardzo wiele a dzień 15 Stycznia obchodzony będzie z równą czcią dla pamięci wieszcza, gdyż sława wielką jest i nieśmiertelną, a przetrwa pomniki najcenniejsze.

*** **Rezultat konkursu** Tow. Zach. Sztuk Pięknych już jest ogłoszony. W dziale malarskim przyznano dwie pierwsze nagrody: p. Miłoszowi Kotarbińskiemu i p. Maszyńskiemu; drugą zaś otrzymał pan Jan Ciągliński. W dziale rzeźby, pierwszą nagrodę zdobył p. Zawiejski, drugą p. Woydyga. W dziale architektonicznym nikomu nagrody nie przyznano.

Konkursy tutejszego Towarzystwa Sztuk Pięknych w małej bardzo części zadanie swe spełniają, nie tyle z przyczyny nizkiej nagrody pieniężnej, która jako zachęta nic tu nie znaczy, ile z braku moralnego bodźca, w formie medalów.

Cóż dziwnego, że bardzo nieznaczna liczba artystów nadesłała swoje prace, gdy dobijać się nie ma o co.

Nawet tak poetycznie nastrojony naród, jakim są adepci pędzla i dłuta, potrzebuje żyć, o przyszłości

swojej pamiętać, a *comme de raison*, żąda pieniędzy lub sławy.

Któżby po nich się tego spodziewał!...

*** **Jubileusz.** Wielce pożyteczna instytucya straży ogniowej warszawskiej, obchodziła uroczyście 50 rok swego istnienia.

Wszystkie oddziały straży udały się na mszę do katedry, a następnie w koszarach odbyła się uczta.

Udzielono odpowiednią ilość nagród pieniężnych, wygłoszono masę toastów, straże ochotnicze prowincyonalne nadesłały telegramy z różnych stron kraju, a nawet z zagranicy odebrano trzy listy: od straży berlińskiej, medyolańskiej i z Londynu.

Wieczorem, dzielni strażacy tańczyli zawzięcie, a nieprzyjaciel ich, ogień, ani razu nie przeszkodził zabawie.

Szczęśliwy projekt pana F. Fryze redaktora Kuryera Porannego założenia kasy pomocy dla strażaków, zyskał w Warszawie ogólną sympatyę, ofiary napływają; w pierwszych dniach zaraz zebrano przeszło 4,000 rs.

Nie wątpimy, że zbierze się dużo więcej z drobnych datków, od których nikomu uchylać się niewolno, kto choć raz widział klęskę jaką bywa pożar w prowincyonalnych miastach, a od której dzięki energii a często poświęcenia strażaków, jesteśmy prawie bezpieczni.

Oni narażają życie własne, nie znają święta, wygód, odpoczynku, zawsze na każde zawołanie stawić się muszą, przez wdzięczność dla tych ofiar obowiązku stawmy się także do apelu wszyscy, jak jeden człowiek. Oni bronią nas od ognia, my dajmy ich rodzinom spokojną przyszłość, obrońmy je od nędzy!...

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Oryginalne przedsiębierstwo** powstało w tym karnawale w Paryżu. Ma ono na celu dostarczać rodzinom na zabawy i uroczystości „dobrze wychowanych młodych ludzi" do rozmowy i do tańca. Cyrkularz zapewnia, że ceny są umiarkowane i zastosowane do stosunków zamawiającego.

Towarzystwo przyjmuje zamówienia i na prowincyę.

Chociaż w *niektorych krajach*, wynajmowanie dygnitarzy oddawna jest przyjętem i cieszy się ustaloną taksą, przedsiębierstwo tego rodzaju w formie kantoru czyli też biura zamówień, wydaje nam się potwornem.

Trudno sobie wyobrazić zebranie towarzyskie, złożono z gości płatnych, na godziny, jak również przypuścić niepodobna, by człowiek uczciwy, porządny, zgodził się na taki zarobek, bez ubliżenia własnej godności. A rola gospodyni domu, byłaby także nie do pozazdroszczenia.

*** **Nie tylko u nas** lichwa szeroko rozpostarła siecie i żywi się krwią swoich ofiar, we Włoszech dzieje się jeszcze gorzej. W niektórych gminach drobny rolnik może tylko wtedy zyskać pożyczkę, gdy płaci 40 do 50 od sta. Ogólnie zaś, w pięknej Italii taki jest obecnie brak kapitału, że wielu posiadaczy ziemskich musiało zupełnie porzucić uprawę roli i chwycić się innego fachu. Lichwiarze trzymają w swoich rękach wszystkich niemal włościan i pochłaniają owoce ich trudów.

Kredyt znany jest tam tylko z nazwiska, chociaż ludzie dobrej woli robią co można, by sytuacyę polepszyć kilku milionerów założyło, tak zwane banki kredytu ziemskiego, ale drobny rolnik nie uzyska w nich pożyczki, gdyż pieniędzy jest zamało.

*** **Odurzenie.** W czasie przejazdu przez tunel Mont Cenis, służba kolejowa podlega odurzeniu, które może sprowadzić straszną katastrofę. W ostatnich czasach powtórzyło się to dwa razy, a przyczyną jest niewątpliwie zła wentylacya, której przecież nietrudno zapobiedz. Szczęśliwym trafem zdarzyło się to służbie pociągu towarowego; głęboki sen ogarnął wszystkich, dość łatwo jednak przywrócono ich do przytomności. W razie podobnego wypadku z pociągiem kuryerskim osobowym, następstwa mogą być fatalne; władze kolejowe powinny o tem pamiętać.

*** **Zjazd fryzyerów** odbył się w Wiedniu dnia 4 Stycznia, połączony z konkursem. Komitet składający się z 50 dam przyznał nagrody dwom fryzyerom: Janikowi i Horaczkowi. Fryzura odznaczona pierwszą nagrodą, arcydzieło Janika, będzie uznana za najmodniejszą na bieżący karnawał.

Jak wygląda ten utwór, nie wiemy, musi to jednak być coś bardzo pięknego, gdy 50 kobiet przyznało mu palmę pierwszeństwa.

*** **Biedacy.** W Odessie, na jednym z okrętów angielskich, znajduje się 80 murzynów, narażonych na ciężkie przejście, z powodu zimna.

Nieszczęśliwi nie mając odpowiedniego ubrania, chorują i dwóch zmarzło, a pięciu poniosło śmierć od zagorzenia, gdyż nie potrafią obchodzić się z piecem.

Dopiero po tym ostatnim wypadku, konsulat angielski rozciągnął nad nimi opiekę. Czemuż pierwej o tem nie pomyślano. Potrzeba było kilka ofiar!

*** **Oryginalny obraz Van Dycka** znaleziony został w wiosce Sabaudzkiej Saint Jean de Maurienne. Znakomity malarz zasłabł w czasie podróży do Włoch i jak wiadomo z biografii, długi czas, złożony ciężką chorobą, spędził w tej miejscowości w domu Claude Borellya. Przyszedłszy nieco do sił, wywdzięczył się gospodarzowi za gościnność, portretem jego córki.

Obraz ten odnaleziono w ostatnich czasach i poczyniono już starania, aby go nabyć dla muzeum brukselskiego.

Zdaniem znawców, posiada on bardzo wysoką wartość, a zaginiony od dawnego czasu, dopiero teraz doczekał się odpowiedniego pomieszczenia.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie domowe. Spódnica pod spód pluszowa; zwierzchnia *a la paysanne* z grubego, wełnianego materyału, z wrabianemi kolorowemi szlakami, związana z przodu na kokardy. Stanik z tego materyału co zwierzchnia spódnica, żabot koronkowy.

Ubranie dla małego chłopczyka. Żakietka i spódniczka aksamitna, ozdobiona koronką. Pończochy wraz z majteczkami, białe, haftowane.

Ubranie domowe. Spódnica z materyi jedwabnej, stanik i draperya z wełnianego materyału, przerabianego w węzełki. Szmizetka tiulowa, kokardy ze wstążki ottoman.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani A. Krzy. we Włodzimierzu Wołyńskim. Koronkowe materyały na suknie są w różnych kolorach i w różnych gatunkach. Prosimy o bliższe określenie żądania a postaramy się posłać objaśnienie. Sprawunki wszelkiego rodzaju redakcya załatwia dla dogodności swych prenumeratorów, za opłatą nader umiarkowaną.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Января 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 3.

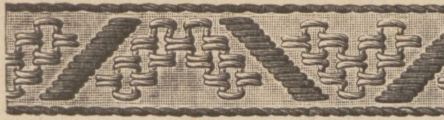
(Dokończenie.)

N. 36. Ubranie spacerowe z paletocikiem dla małego chłopczyka.

Luźne plecy paletocika przyciągają się na tasiemki nawleczone w dwie strony od spodu; zwierzchu sciągnięcie przykrywa patka 24 cent. długa a 4 c. szeroka. Zwierzchni materyał na bok zachodzącego przodu, (do którego od spodu przyszywa się patkę z dziurkami do guzików) zakłada się w 3 fałdy 3 cent. szerokie. Pod szyją i poniżej wcięcia w pasie dane zwierzchu dwie patki 15 c. długie, ozdobione dwoma guzikami. Takież patki naszyte na rękawach.

N. 38. Lustro toaletowe.

Łatwo dające się przenosić zwierciadło na postument 86 c. wysoki z dodanym stoliczkiem o 30 cent. średnicy, w którym wprawiona jest osada zwierciadła 62 cent. wysoka, z ruchomemi świecznikami, wszystko z niklowanego metalu. Owalne zwierciadło ma 40 cent. wysokości a 29 szerokości.



N. 1. Szlaczek wązki do serwetek i t. p.



N. 2. Szlaczek do serwetek i t. p.



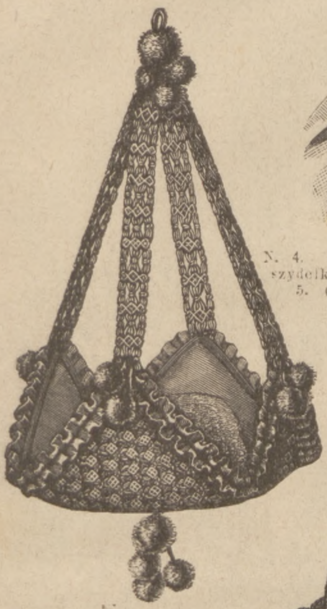
N. 3. Przykrycie na lampę.



N. 4. Małpka robiona szydełkiem. Patrz r. 5. (Zabawka.)



N. 6. Małpka zrobiona za szneli na druciku. (Zabawka.)



N. 7. Woreczek na gąbkę. Patrz ryc. 21.



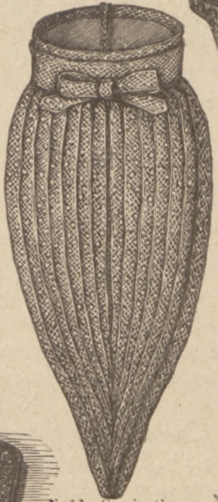
N. 8. Trzewik do ubrania wizytowego, z pasmananteryą z perełek.



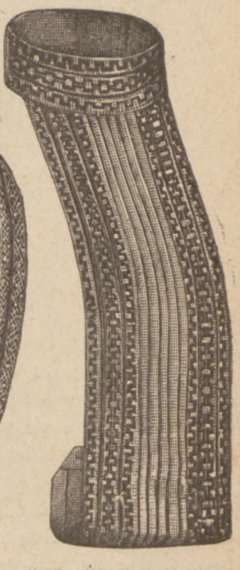
N. 5. Małpka. Patrz ryc. 4.



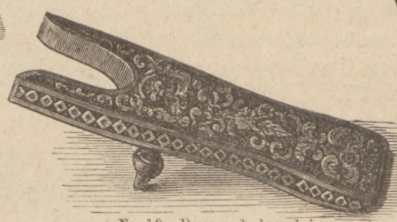
N. 9. Bęben (zabawka.)



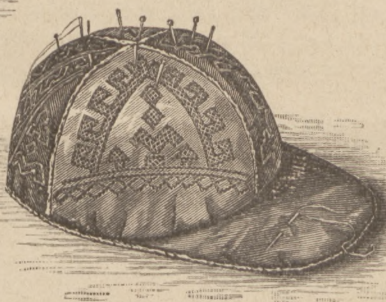
N. 11. Szmizetka tiulowa.



N. 12. Żabot kamizelkowy. Patrz ryc. 19.



N. 10. Przyrząd do zdejmowania butów.



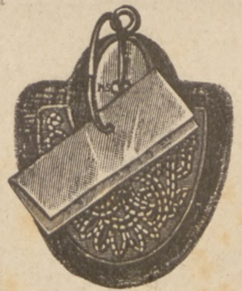
N. 16. Czapeczka żokejska, jako poduszeczka. Patrz r. 17 i fig. 34 na arkuszu.



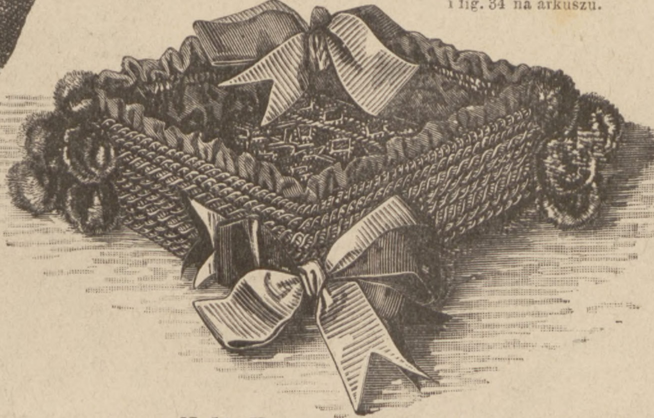
N. 13. Koszyczek robiony szydełkiem. Patrz ryc. 23.



N. 15. Przycisk wiszący do listów.



N. 14. Wieszadło do zakładania notatek.



N. 18. Koszyczek płaski do robót.

Opis do N-ru 4.

N. 1—2. Szlaczki do wyszycia bawełną kolorową lub jedwabiem.

N. 3. Przykrycie na lampę.

Składa się z ośmiu kwaterek, wyciętych z brzegów w drobne ząbki, z których każda liczy po 26 cent. długości, 12 cent. u dołu, 6 w środku a 3 cent. w górze szerokości i przyklejona jest do kawałeczka tektury sciętego skośnie od 3 do 2 c. szerokości, opatrzonego z boków dziurkami do złączenia kwaterek sznureczkiem lub wstążeczką; przyklejenie zasłania zwierzchu dodany ząbek z oddzielnego kawałka. Obrazki malowane są akwarellą.

N. 11. Szmizetka z krawacikiem.

Odpowiednia do sukien podłużnie wyciętych układa się z tiulu w rzucik w zakładki podłużne, na podstawie ze sztywnego tiulu 36 c. długiej, pod szyją 18, u dołu 3 c. szerokiej. Krawacik związany z podwójnie wziętego paska tiulu $1\frac{1}{2}$ cent. szerokiego.

N. 12 i 19. Żabot kamizelkowy.

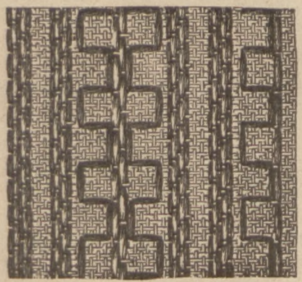
Taki fason żabotu najwłaściwszy jest przy stanikach z kaftanikowemi przodami, jak na ryc. 24 w N. 2; dolny brzeg podwija się pod spód i przypina do paska. Ryc. 12 przedstawia model z kanwy de congrès, 48 c. długi, 44 szeroki, środkiem złożony w fałdki do 6 cent. szerokości, z brzegów ozdobiony wyszyciem podług ryc. 19, nitką złotą i żółtym jedwabiem; grecki desenik dany kolorowym jedwabiem.

N. 16-17. Poduszeczka do szpilek formą czapeczki żokejskiej.

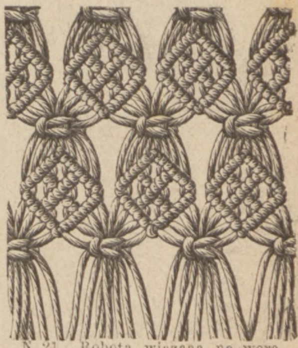
Dwie kwaterki z bronzowego i dwie z łososiowego atłasu, po $11\frac{1}{2}$ c. u dołu szerokie, środkiem po 11 c. długie, stanowią po-



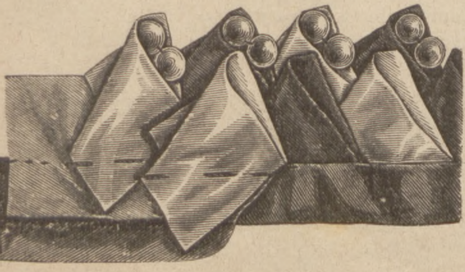
N. 17. Deseń do ryc. 16.



N. 19. Szlaczek do ryc. 12.



N. 21. Robota wiązana na woreczek ryc. 7.



N. 20. Układanie ząbków ze wstążki do r. 12 w N-rze 3.



N. 22. Ząbki szydełkowe do ryc. 21 w N. 3.



N. 23. Robota szydełkowa do ryc. 13. Szlak górny.



N. 24—25· Uczesanie i ubranko.

krycie czapeczki ryc. 16, służącej jako poduszeczka. Formę szyje się z grubej podszewki, twardo wypycha pakułami a zwierzchu przykrywa watą, aby atłas miękko się układał; 8 cent. wysoką poduszeczkę przytwierdza się u dołu do kawałka grubej tekturki, stanowiącej w przedłużeniu daszek 13 cent. długi, 6 szeroki, ścięty okrągławo i pokryty bronzowym atłasem. Na bronzowych kwaterkach wyszyty deseń, dany w naturalnej wielkości na r. 17; łańcuszek jest z filozeli niebieskiej, ścieg krzyżowany wyszyty chińskim jedwabiem bronzowym. Kwaterki łososiowego koloru haftują się podług deseniu fig. 34, danego na arkuszu z krojami do N. 1 i 2 Tyg. Mód. Na szwach i z brzegów dany sznureczek złoty.

N. 24—25. Uczesanie i ubranko.

Część włosów związana do tyłu układa się w pukiel, przypięty niezbyt wysoko; pozostałe z przodu włosy rozdzielone środkiem głowy, lekko przykarbowane, odczesane są do tyłu, a z dwóch tych promieni upięty jest rodzaj węzła. Ubranko z czarnej koronki chantilly, 8 cent. szerokiej i z kolorowej atłasowej wstążki, 6 c. szerokiej, upięte na półokrągłej podstawie ze sztywnego tiulu 12 c. długiej, 11 szerokiej. Brzeg tylny półkola liczy 32 cent. długości i z boków założony jest w fałdki $1/2$ cent. głębokie; w środku z tyłu spuszczony jest koniec ze wstążki 20 cent. i pukiel 11 cent. długi, a brzegi otacza koronka wysunięta z przodu tylko na 5 cent. szeroko i ozdobiona w odstępach naszytemi grelotkami z perełek. Z prawego boku koronka podpięta jest kokardą; na środku ubranka dana rozeta z pukli 6 cent. długich.

N. 27. Kołnierzyk z koronką złotą.

Kołnierzyk 5 c. szeroki, 39 obwodu mający, uszyty z pluszu na atłasowej podszewce, związany jest kokardą z wstążki ottoman $2\,1/2$ c. szerokiej; Górny brzeg ogarnirowany jest złotą koronką z długiemi pikotami 3 cent. szeroką, układaną w wachlarzowe fałdki i przyszytą w odstępie $1/2$ cent. od brzegu.



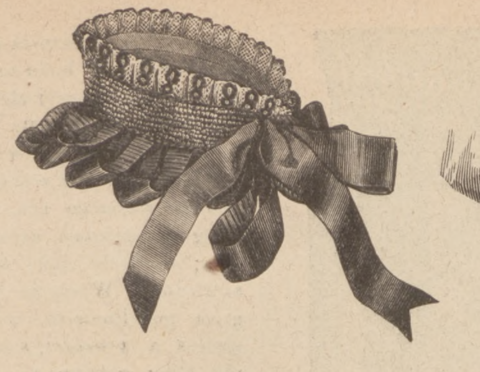
N. 26. Rękaw do ryc. 33.



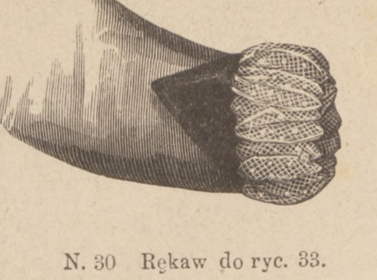
N. 27. Kołnierzyk z koronką złotą.



N. 29. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 28. Kołnierzyk z pukiami z wstążki.



N. 30 Rękaw do ryc. 33.



N. 31. Czepeczek z barbki koronkowej.

czepeczek, na podstawie ze sztywnego tiulu, ściętej w ząb do czoła, 10 c. szerokiej, 34 długiej, oszytej z brzegów dwoma rzędami koronki 5 cent. szerokiej, naszytej złotym bajorkiem i czarną sieczką. Barbka na środku przefałdowana przepina się agrafką na środku podstawy z przodu, dalej spuszczona jest do tyłu i przewiązana w kokardę z długiemi końcami.

N. 32. Ubranie balowe.

Spódnicę pokrywają 3 plisowane falbany z jasnej jedwabnej materyi; koronkowa draperya z przodu tworzy krótki fartuszek, dalej przechodzi z boku do tyłu, podpięta w sute bufy, a z prawego boku złożona w podłużne fałdy przypięta jest kokardami wzdłuż sukni. Pod koronkowemi bufami z tyłu upięty jest bryt jedwabny, jak to widać na ryc. 32. Stanik wycięty jedwabny sznurowany z tyłu, przybrany koronką i kokardami.

N. 33, 30 i 26. Ubranie wieczorowe z vêtement.

Suknia przedstawiona na ryc. 33 odznacza się nietylko doborem materyału ale i efektownem zestawieniem kolorów—blado różowa moiré antique, przysłonięta tiulem i koronką w delikatnym odcieniu i srebrno popielaty plusz. Przód spódnicy morowej zakończonej wolantem 12 cent. szerokim, pokryty jest podpiętym z boków brytem tiulowym, naszytym dwoma falbanami 38 cent. szerokiemi. Vêtement ma krótkie przody otwarte na kamizelce morowej, plecy zaś krają się wraz z długiemi podpiętemi brytami. Podłużny wykrój szyi ogarnirowany koronką 12 cent. szeroką; rękawy przybrać można podług ryc. 26 lub 30.

N. 34—39. Ubrania na koncert lub do teatru.

N. 34. Suknia z kaftanikowym stanikiem.

Plecy stanika z okrągłym wykrojem zakończone są suto fałdowanem karoczkiem, przody otwarte kaftanikowo, u dołu podwinięte w pukiel i przyczepione do bawetowego paska, przytrzymującego kamizelkę, na której krzyżują się końce chusteczkowej szmizetki. Górny brzeg przodów wyłożony w ranwersy pokryte atłasem. Ryc. 34 przedstawia stanik z adamaszku mieniącego się różowo z zielonem, przybrany różowym atłasem i żółtawą krepą.

N. 36. Kołnierz haftowany perłami.

Kołnierzyk stojący uszyty z żółtawo białego aksamitu, zdobny jest haftem z dużych i małych złotych perełek i zakończony takąż, 4 cent. szeroką frendzlą. Mankiety odpowiednie powiny być dane na rękawach.



N. 34. Suknia z kaftanikowym stanikiem.
N. 37. Suknia z fałdowanym stanikiem.

N. 35. Okrycie balowe. Patrz ryc. 39.
N. 38. Suknia z hiszpańskim kaftanikiem.

N. 36. Kołnierz wyszywauy perłami.
N. 39. Okrycie balowe. Patrz ryc. 35.



N. 32. Ubranie balowe. N. 33. Ubranie wieczorowe.

N. 28. Kołnierzyk z puklami.

Uszyty jest z 5 cent. szerokiej wstążki *frise*, podłożonej sztywnym muślinem i podszewką jedwabną. Brzeg górny otacza riusza koronkowa z pukielkami sznelowemi, dolny zaś brzeg zdobią pukle z wstążki atłasowej z lewą stroną ottoman, 4 c. szerokiej. W tym celu kraje się wstążkę na kawałki 24 c. długie, składa takowe w pukiel, tak aby spodni koniec leżał na zwierzchnim, zachodząc tylko do połowy. Pukle wszywa się jeden przy drugim między wierzch i podszewkę kołnierzyka, związanego kokardą.

N. 31. Ubranko z barbki koronkowej.

Barbka z hiszpańskiej koronki 15 cent. szeroka, 160 cent. długa, upięta jest jako



N. 40—41. Nożyki do papieru.



N. 42. Deseń na płaskorzeźbę do ryc. 40.

N. 37. Stanik fałdowany.

Materyał naddany przy przodach stanika zebrany w ścisłe fałdy na ramionach, na gorsie rozsunięty, u dołu jest znowu ściśle zebrany i przysznurowany sznurem jedwabnym, przewłóczonym przez kółka szmuklerskie, naszyte zwierzchu stanika. Kołnierz, plastron i przybranie na rękawach dane z odmiennego materyału i koloru.

N. 38. Suknia z hiszpańskim kaftanikiem.

Stanik wycięty od sukni balowej może być użyty do strojnego wizytowego ubrania, jeżeli dopełnimy go hiszpańskim kaftaniczkiem, przedstawionym na ryc. 38, koloru tego co suknia lub co przybranie. Przody kaftaniczka wycięte w górze kwadratowo, ogarnirowane są riu-



Ubrania wieczorowe dla młodych panienek.

N. 43. Suknia z bluzką. N. 44. Suknia z bawetowym stanikiem.

szą koronkową; kokardy z wstążki zakończonej pikotami. Ryc. 38 przedstawia stanik jedwabny w muszki aksamitne, dopełniony kaftaniczkiem z materyi faille. Rękawy półdługie, zakończone bufami gazowemi.

N. 39 i 35. Okrycie balowe.

Ma znaną formę dolmanową z długiemi przodami, krótkiemi plecami z fałdowanem karoczkiem (w połowie 42 cent. szerokości) i z rękawami 40 c. szerokiemi; ryc. 35 przedstawia okrycie z białej jedwabnej ottoman, oszyte futrem, a ryc. 39 z oliwkowego pluszu, z kolorową jedwabną podszewką, efektownie odbijającą w fałdach karoczka. Rękawy z wykładami 10 cent. szerokiemi; kokardy z wstążki.

N. 43—44. Ubrania wieczorowe dla młodych panienek.

N. 43. Suknia z bluzką.

Piękna i lekkka sukienka dla młodej panienki, odrobiona jest z niebieskiego tiulu; stanik bluzkowy ma atłasową podszewkę; spódnicę garnirują wązkie plisowane falbanki, wyżej przód i boki pokryte tą brytami tiulowemi, bufiasto odstającemi, u dołu podpiętemi bukietami z kwiatów. Tylne bryty wzięte podwójnie spadają do połowy jeden na drugi. Na podszewce gładko dopasowanej do figury bluzka marszczona ma w górze gładki karczek i krótkie bufowane rękawki. Pasek z boku zapięty.

N. 44. Suknia z bawetowym stanikiem.

Stanik gładki bawetowy, ma z przodu płastron środkiem sznurowany, u góry dopełniony fadłowaną bertą, otaczającą okrągły wykrój stanika. Brzegi plastronu oszyte drewnianemi perełkami koloru oliwkowego jak materya, zdobiąca suknię z blado rożowej gazy. Spódniczka zakończona plisowaniem i naszyta pliskami z materyi oliwkowej. Z boku na podpięciu draperyi szarfa z materyi złożonej we dwoje.

N. 45—49. Obrus i serwetki. Patrz ryc. 27 w N. 3.

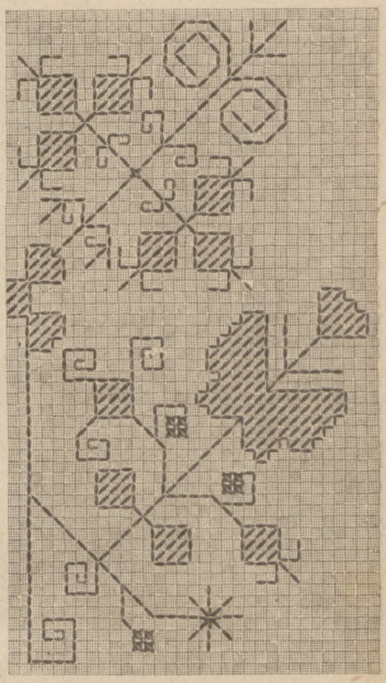
Odrobione są z szarego płótna, którego grubość wskazuje ryc. 27 w N. 3; każdy ścieg krzyżykowy zajmuje 4nitki w kwadrat; wyszycie dane bawełną ponsową i szafirową. Wyszycie brzeżne dane ściegiem gobelinowym, zajmującym 2 nitki wzdłuż a 4 wszerz; środki deseniu zapełnia ścieg gobelinowy, zajmujący 4 nitki wzdłuż a 2 wszerz, w rogach tylko trzeba dawać krótsze ścieżki. Oba poprzeczne brzegi obrusa 148 cent. długiego a 146 szerokiego, są szeroko wysiepane i wiązane we frendzlę. Brzegi podłużne, obrąbione $2^1/_2$ cent. szeroko, mają nad obrębem dany szlak wyszyty podług ryc. 27 w N. 3 i rzucik, którego połowę wskazuje ryc. 48. Na środku jednej strony poprzecznej wyhaftowany jest rok, z drugiej zaś litery 6—10 cent. wysokie. Serwetki mogą być kwadratowe, jak r. 46, wązko obrąbione wokoło i ozdobione szlakiem krzyżykowym ze znakiem wyszytym na środku z jednej strony. Ryc. 46 przedstawia serwetkę podłużną, 85 cent. długą, 40 cent. szeroką, ze znakiem 7 cent. długim, wyszytym na samym środku; brzegi poprzeczne zakończone są wyszyciem i oszyte 8 cent. szeroką nicianą koronką. Na ryc. 49 widzimy serwetkę 74 cent. długą, 38 cent. szeroką, z brzegów poprzecznych oszytą szeroką nicianą koronką i ozdobioną wyszyciem; środek serwetki zdobi wielka pojedyńcza litera.

N. 52 i 54. Dywanik przed biurko. Robota krzyżowa.

Rycina 54 przedstawia dywanik 120 cent. długi, 76 cent. szeroki, wyszyty ładnym a łatwym i pospiesznym ściegiem krzyżowym, którego uczy ryc. 52, wskazująca grubość kanwy. Ściegi skośne wyszywa się naprzemian długie i dwa krótkie, co razem tworzy jedną grupę deseniu. Ryc. 16 w N. 3 daje deseń roboty krzyżowej.



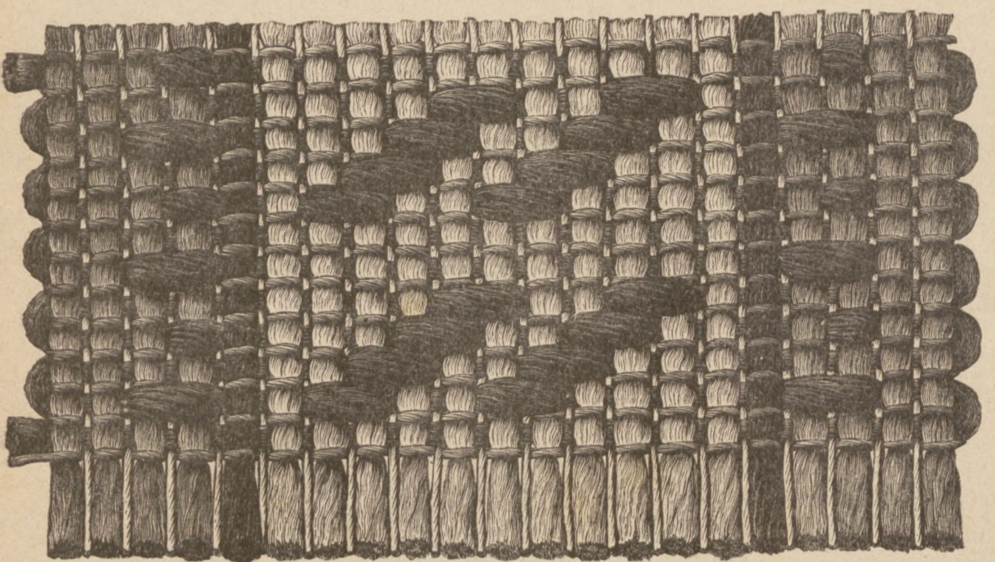
N. 45—47. Obrus i serwetki z kolorowemi haftowanemi szlakami.



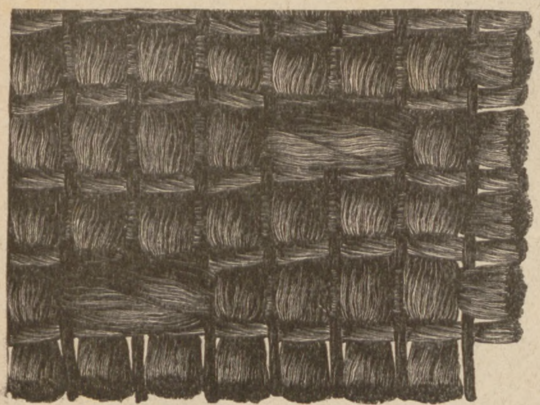
N. 48. Desenik do ryc. 25.



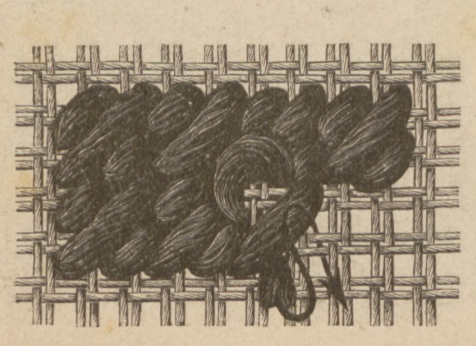
N. 49. Serwetka ze szlakiem krzyżykowym i koronką.



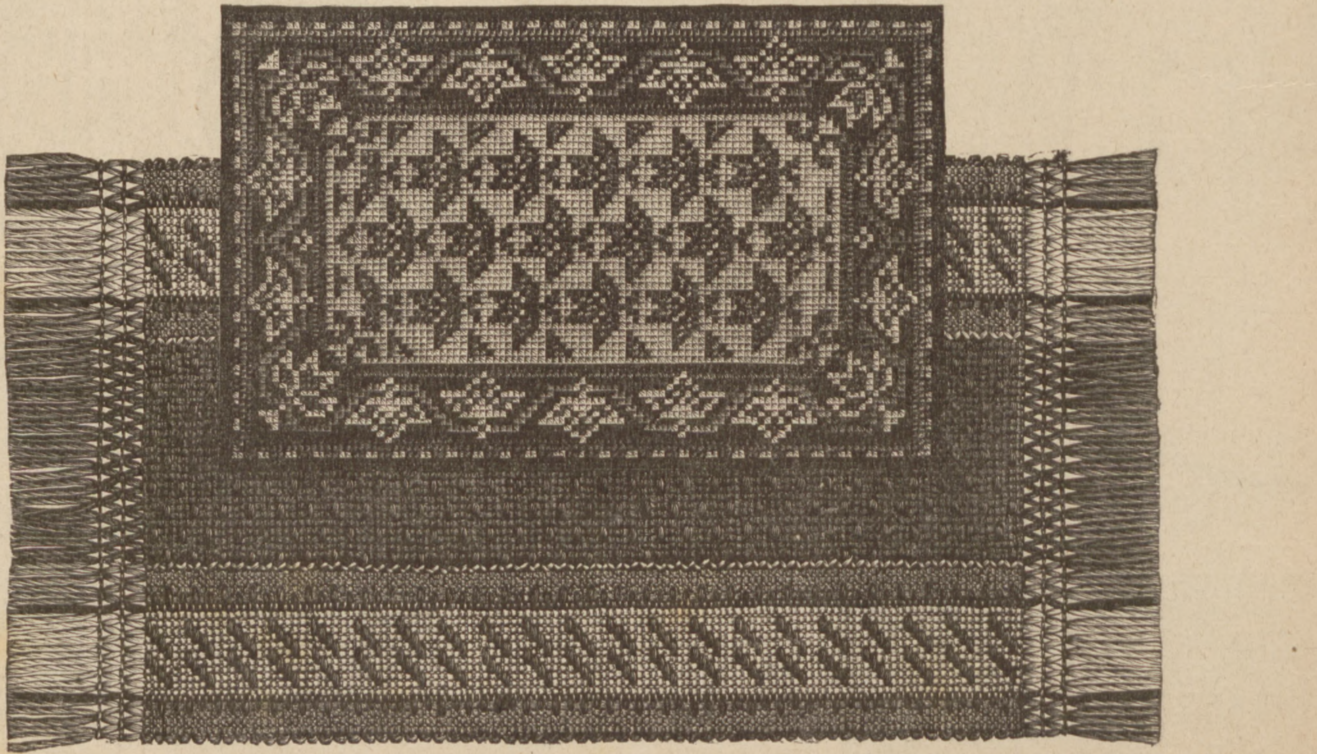
N. 50. Pas robotą tkacką na ręcznym warstaciku do ryc. 53.



N. 51. Tło pasa środkowego do ryc. 53.

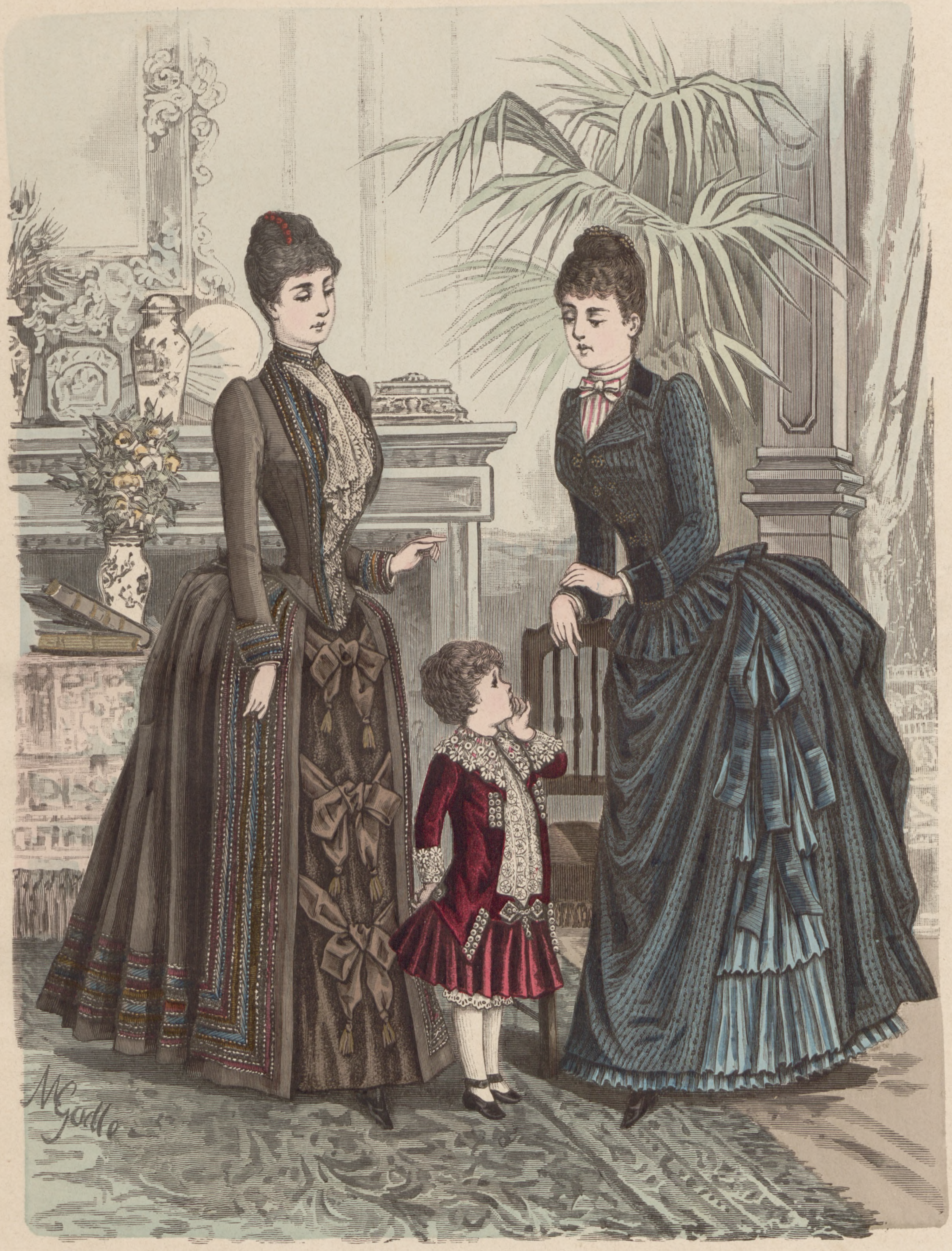


N. 52. Wyszycie na kanwie do ryc. 54.



N. 53. Dywanik przed łóżko. Robota tkacka na warstaciku. Patrz ryc. 50 -51.

N. 54. Dywanik przed biurko. Robota krzyżowa na kanwie patrz ryc. 52.



Pl. 635.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.